Nr. 34. Warszawa, dnia 9 (21) Sierpnia 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Opiekun Domowy wychodzi raz n tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

WŁASNA GODNOŚĆ.

Człowiek pod względem uczuć jest bezbronnym. Gdy je uzewnętrznia, zostaje w położeniu malarza, który obraz swój pod sąd pospólstwa oddaje: każdy może go skrytykować, zbrudzić myślą, splugawić słowami. Ani ujmująca słodycz, ani wzniosła szlachetność nie są dla nich ową tajemniczą zasłoną, którejby podnieść nie śmiano. Dobroć może być wyszydzoną, miłość — odepchniętą, duma— poniżoną. Jak męczennik z piersią odkrytą, tak człowiek ze swemi uczuciami czeka na strzały dzikich barbarzyńców. Cios odbiera pociosie, i tylko wzgardą odpowiedzieć na nie milczące potrafi. Ale wzgarda jest uczuciem smutném, bezpłodném, nie zaspakajającem wszystkich potrzeb duszy; rozdrażnia tylko rany, lecz ich nie goi. Gdybyśmy mieli tylko wzgardę na uspokojenie uczuć wzburzonych niesprawiedliwością, na otarcie łez nieszczęśliwym, na podniesienie ducha upadłych; — rozpaczliwym byłby stan społeczeństwa. Lecz nie! W skarbnicy duszy ludzkiej jest jeden drogi klejnot, za pomocą którego okupuje się wiele niepowodzeń, zaspakaja wiele pragnień i rozświeca horyzont pełen nieprzejrzanych ciemności. Korzystają z niego zarówno ci, co ogromny posiadają majątek jak i ci, którzy go stracili lub wcale nie mają; zarówno wysoko na skali społecznej rozwielmożnieni jak i biedni pełzający w nizinie; zarówno silni potęgą fizyczną jak i słabi. Klejnotem tym jest *własna godność*. Skrywając się w najwewnętrzniejszym zakątku naszej uczuciowości, odpiera ona razy nieprzyjaciół i każe się szanować. Jest ona ową togą Rzymianina, w którą się obwijamy, ażeby na twarzy naszéj nie odkryto śladów smutku i rozpaczy, — fizycznej niemocy i moralnego pognębienia.

Z samego atoli początku chcielibyśmy się zastrzedz przeciwko fałszywemu rozumieniu słów naszyc . Za parawanem własnej godności kryje się mnóstwo uczuć niedorzecznych, przynoszących hańbę tym, którzy je pielęgnują a stratę tym, którzy je tolerują. Wiemy, że arystokrata uważałby za ubliżenie swojej godności, gdyby się miał z powodu klęsk majątkowych zniżyć do rzemiosła. Wiemy, że ludzie, uważający się za gienialnych, za nic w świecie nie poszliby pracować na skromném polu małomiasteczkowego żywota, któremuby trochę światła przynieśli; gdyż oni potrzebują szerokiego widnokręgu, ażeby zdolności swoje przechodzące wszelkie wyobrażenie (!) należycie dla społeczeństwa spożytkować. Znamy jeszcze wiele innych przykładów, w których lenistwo, brak uzdolnienia, owcze trzymanie się rutyny, papuzie naśladownictwo i niezdolność do żadnej śmielszéj inicyjatywy, drapują się po bohatersku w płaszczyk godności własnéj, ażeby wszystkie owe niezbyt pochlebne i zaszczytne przymioty ukryć przed oczyma ludzi rozsądnych, którzy umieją odróżnić hipokryzyję męstwa od stałości charakteru i bezsilne gniewy od stanowczości zdania. O tych objawach nierozumnego zapatrywania się na własną godność obecnie mówić nie chcemy; pragniemy tylko wykazać jednę jej stronę, która będąc ostatnią ucieczką słabych fizycznie, powinna być stałą podstawą naszego postępowania. Przez własną godność pojmujemy uczucie oparte na znajomości praw, których człowiek pojedyńczy i społeczeństwo słusznie domagać się może, a skierowane ku obronie tychże praw przeciwko najgrawaniu się siły i szyderskiemu politowaniu fałszywych przyjaciół. Nie hałaśliwe więc krzyki, pryskające na wsze strony obłamkami napuszonych frazesów; których pustota równa się ich objętości; nie wrażliwość czułokrzewu, zwijająca jego listki, gdy je dotknie palec dziecięcia; nie dumna buta, pomiatająca wszystkiem, czego *dawniéj* nie było i lekceważąca ludzi, którzy się świeżo społeczeństwu zasłużyli; — ale silne i niezachwiane poczucie tego, co się każdemu należy, co stanowi istotę i treść wszelkiego bytu społecznego, nazywa się u nas własną godnością.

Przechwalamy się nieraz z posiadania takiéj godności. I zdawałoby się nawet, że jestto rzeczą bardzo prostą, całkiem naturalną. Cóż bowiem jest silniejszego w człowieku jak miłość własna, która jest, bądź co bądź również źródłem uczucia własnéj godności? Podobno wszystko zamrzeć może, lecz miłość własna pozostanie. A jednakże całe to rusztowanie dowodów i wniosków, na pozór tak mocno założone, upada, jeżeli się przypatrzymy faktom. Któż nie znał w życiu swojem choćby jednego pieczeniarza, który za kawałek mięsa i kieliszek wina znosił najprzykrzejsze docinki, najnikczemniejsze obelgi, nie rumieniąc się nawet ze wstydu lub gniewu? kto nie znał choćby jednego adwokata,

---

ŚLADY ŻYCIA.

XX.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Jeszcze w N-rze 31 *Przeglądu Tygodniowego* pan E. Mierzwiński poruszył obywatelską myśl zakładania domów komisowych dla pojedynczych zaścianków rolniczych, dając za przykład dom ziemian czerskich w Grójcu, którego sprawozdanie przekonywa o jego pomyślnéj i pożytecznéj działalności. Domy komisowe mają być tworzone po miastach i przez żywioł miejski, ponieważ temu tylko żywiołowi przypisuje autor zdolność sprostania działaniu. I rzeczywiście, jeżeli zważymy na liczne zajęcia rolnika i na konieczność odpowiedniego podziału pracy, musimy się zgodzić na zdanie autora. Domy komisowe mają zastąpić, a raczéj mają same stać się owemi instytucyjami, o których Falkenhagen-Zaleski powiedział, że „mają ogarniać wszystkie stosunki rolnika po za domem, nie odrywając go od roli.“ Głównem prócz tego zadaniem domów komisowych będzie udzielanie zaliczek na produkty rolnicze za procentem niewielkim,—a jednem z ważnych następstw ich rozpowszechnienia się po kraju— zniweczenie téj pasożytnéj czerni, która stoi między wytwórcą a rynkiem, która nietylko tanio kupuje, aby drogo sprzedać, ale dla zysków dopuszcza się nadużyć. Mając na względzie tę wielką ważność domów komisowych, odważamy się polecić ziemianom naszym odczytanie sprawozdania *domu ziemian czerskich w Grójcu*, którego przykład jak najprędzéj w innych okolicach, ale przez żywioł miejski, winien być naśladowany. Po utworzeniu domu własność ziemska przystąpi dopiero do korzystania z kredytu.

A kiedy już mowa o rolnictwie i jego kredycie, wspomnijmy o także szlachetnym (!) banku handlowym, który ziemianom udziela zaliczek na okowitę i pobiera od nich tylko 20%, a czasami 22%! Przecież to taka stopa uczciwa!! Pisma publiczne z wyjątkiem wielkich dziennych, zapominających o swych obowiązkach względem publiczności, zwracały już kilkakrotnie uwagę na rozmaite *praktyki* naszych banków prywatnych, *niepraktykowane* w żadnem ze społeczeństw oświeconych. Niedawno *Ekonomista* wykazał nie sprawiedliwość zasad przyjętych przez bank handlowy w oznaczaniu procentu przy pożyczkach na zastaw papierów, świeżo zaś pismo przytoczone na początku (w N-rze 32) podnosi tę kwestyję i wiele innych, dowodzących dostatecznie, że publiczność, która się może obejść bez banków prywatnych, dobrze uczyni. Bank polski bowiem i lombard miejski w wielu razach daleko są dostępniejsze i wygodniejsze dla publiki naszéj, aniżeli bank handlowy albo dyskontowy. A ten ostatni sławne bo robi operacyje przy odnawianiu zastawów; ni mniéj ni więcéj tylko 50 kopiejek każe sobie płacić za sam fakt przedłużenia zastawu, niezależnie oczywiście od procentów. Cudne, przecudne są te nasze instytucyje bankowe, ale dla.... bogatych i panów członków rad zarządzających.

* * *

Inna jeszcze kwestyja zarówno ważna, a może daleko ważniejsza, poruszoną została przez niektóre dzienniki. Powiadamy, że ważniejsza, ponieważ interesuje całe masy ludności, dążące w czasach dzisiejszych do

który dla trochy złota zapomniał o najświętszych obowiązkach prawa i sprawiedliwości podejmując się fałszowanéj obrony najhaniebniejszego procesu? kto nie spotykał tych ludzi straconych, którzy dla przypodobania się jakiemuś paniczowi gotowi lizać drogę po któréj on stąpał? Objawy służalstwa, są na nieszczęście dość liczne zarówno w życiu jednostkowem jak i ogólnem ażeby się przekonać, że godność własna nie jest tak dobrze ugruntowana, jakby się na pozór zdawało. W każdym atoli razie takie objawy nie mogą jeszcze dawać złego wyobrażenia o całości społeczeństwa, gdyż inaczej kradzieże, zabójstwa i tym podobne zbrodnie trzebaby było zaliczyć do kategoryj faktów zniesławiających ogół. Są one własnością członków martwych społeczeństwa, które same odpadają lub które odciąć należy od organizmu. Są atoli pół-zapomnienia, pół-występki, które się popełniają więcéj z nierozwagi, aniżeli z braku siły moralnéj, więcéj z przyzwyczajenia aniżeli z zepsucia... Tu można policzyć wszystkie objawy, będące wypływem ciekawości i zamiłowania przepychu. Wszystko co nieznane, pociąga nas. Jestto pewnik stwierdzany doświadczeniem codziennnem. Ażeby się czegoś dowiedzieć, pochwalić się czemś niezwykłem, wiele poświęcamy, na wiele nie zważamy drobnostek. Drobnostki te jednak gromadzą się zwolna w wielkie pokłady, których ogromowi dziwiąc się, nie pojmujemy, jakim sposobem powstały. Niekiedy nawet przerażamy się ich olbrzymiemi kształtami; cofamy się więc wylękli, mówiąc: Nie wiedzieliśmy, że aż do tego dojdzie. Jeżeli zaś w takich właśnie drobnostkach pozornych zaplątamy swą godność trudno nam potem wybrnąć bez szwanku. Jeżeli pozwolimy rozwinąć się w sobie, pewnym myślom, pewnym zachceniom, których dobroć wydaje się nam wprawdzie podejrzaną ale nie zupełnie jeszcze sfałszowaną; jeżeli przez prostą ciekawość, jak też te myśli i te zachcenia wyglądać będą w czyn zamienione; zechcemy je na szerszą skalę praktykować; wówczas godność nasza fatalnie może być skompromitowana. Jak pierwszy krok najwięcéj kosztuje, tak też ustąpienie jednego calu z naszéj godności podsuwa myśl poddania się całkowitego.

Zamiłowanie przepychu a ztąd chęć błyszczenia choćby urojonym blaskiem przekazane nam zostało przez przodków. Gdzie dużo świata, blasku i marnotrawstwa, tam tłum ludzi z konieczności znaleść się musi. Wiadomo, że narody dzikie, barbarzyńskie przepadają za błyskotkami, które służą przebiegłym Europejczykom za bardzo wygodny środek wyłudzenia od nich przedmiotów mających w świecie cywilizowanym wartość wysoką. Coś podobnego znajdujemy i w społeczeństwach mniej oświeconych, które wdzierając się na wyższe szczeble kultury, nie pozbyły się jeszcze przywar pierwastkowych. Nic by to nie było dziwnego, gdyby popęd ów objawiał się tylko u tłumu zamiłowanego w jaskrawych barwach i przygniecionego niemal pompą, o jakiéj w życiu powszedniem nie ma żadnego wyobrażenia. Łatwo by to wytłomaczyć a nawet usprawiedliwić. Lecz gorzéj daleko, jeżeli klasy uważające siebie za oświecone, ucywilizowane, ulegają wpływowi świecidełek i zapominają o swoich prawach i swoich obowiązkach. Kto siebie szanować nie umie, nie wart szacunku. Kto dla przypatrzenia się arystokratycznemu weselu, gotów się przebrać we frak lokajski i lokajski krawat może sobie powinszować, że przemienił złoto na szych, że ciekawość przemogła w nim godność, że zamiłowanie pozorów zabiło w nim prawdę postępowania. Wiadomo z historyi, jak Alcybijades chcąc zadrwić z pospólstwa i nacieszyć się upadkiem moralnym, do którego sam w wielkiéj części się przyczyniał; rozrzucał drobną monetę w pośród uliczników, staczających z sobą bójkę zażartą o dostanie jednego szeląga. Możnaby tym biedakom przebaczyć, że nie poznali się na wykrętnem szyderstwie rozpustnego Greka—bo były to stworzenia ciemne, zaniedbane...; ale trudno zachować pobłażliwość podobną względem oświeconych, pomiędzy któremi nieraz analogiczne napotkamy zjawiska. Dość tu w formie przykładu przytoczyć owo śmieszne z jednéj a smutne z drugiéj strony pięcie się do progów arystokracyi, małpowanie wielkoświatowych obyczajów, ażeby być litościwie przypuszczonym do uczty zastawionéj dla wybrańbów fortuny. Tem smutniejsze to jest, gdy się odnosi do całych warstw społecznych, które w pewnych chwilach nie umieją poskromić w sobie występnej żądzy złożenia hołdu złotemu cielcowi; a niestety, prawie ogólna to u nas choroba.

Zapewne, powinniśmy znać granice, do których rozciągają się nasze prawa; ale poznawszy je, obowiązani jesteśmy silnie i wytrwale przy nich obstawać, jeżeli nie chcemy się narazić na niebezpieczeństwo całkowitego ich utracenia. Częstokroć bowiem nie przez zbrodnią giniemy, lecz po prostu przez słabość, przez brak energii w odpychaniu zwodniczych a zgubnych w rezultacie pozeptów. Nie dajmy się uwieść gromkiemu głosowi tych, którzy własną godność zowiąc pychą szatańską, chcieliby z nas wyplenić wszystko co ludzkie, by późniéj duchowe szkielety oddać na pastwę zobojętnienia względem wszystkiego, co ziemskie — a jednakże tak potężne, że ku niemu garną się wszystkie uczucia ludzkości. Strzeżenie zakreślonych granic jest święty obowiązkiem każdego człowieka, który się czuje członkiem społeczeństwa; nazywanie tego pychą jest albo nierozumieniem znaczenia wyrazów albo też sofistycznem ich przekręcaniem w celu rozszerzenia duchowego serwilizmu. W pierwszym i drugim razie twierdzenie podobne, pozbawiające energii i śmiałości w działaniu, należy daleko od siebie odrzucić.

Są inni, którzy na obronę swojej lękliwości i niezaradności przytaczają bardzo słuszne skądinąd zdanie, że należy poświęcać mniejsze korzyści dla utrzymania większych. Ma to zapewne zastosowanie wtedy, kiedy idzie o *konieczne* poddawanie się pewnym wymaganiom, których uniknąć niepodobna. Jestto nawet rada bardzo rozumna, gdyż nie krzyk i szamotanie się ale milczący protest jest częstokroć najwłaściwszą formą objawienia swojej godności. Trudno atoli zasadzie powyższej przyznać słuszność względnie do rozmaitych położeń i okoliczności. Co dla jednej osobistości nie będzie uwłaczającem, dla drugiéj może się stać haniebnem. Co w pewnej chwili jest konieczne, w innej natomiast może być zostawione do wolnego wyboru na podstawie rozsądnego rozpatrzenia się w sprawach ludzkich. Czytelnicy sami łatwo w życiu codziennem znajdą odpowiednie dwu powyższym wypadkom przykłady. Dodamy tu tylko jeszcze, że niezważanie na małe uchybienia względem naszéj godności bez żadnego za to wynagrodzenia albo za wynagrodzenie pozorne,—jest nierozumem, którego wstydzić się należy. Tam, gdzie ku takiemu zapomnieniu prowadzi prosta ciekawość, gapiostwo lub zamiłowanie ostentacyi, zwykle ten ostatni zachodzi wypadek. Kto

---

prędkiego wzbogacenia się. Rzecz idzie o ogłoszenia przez wekslarzy, wedle których to ogłoszeń, ratami pięcio lub trzyrublowemi nabyć można pożyczkę premijową. Nie chcemy w téj chwili rozbierać pytania teoretycznego, o ile wszelakie loteryje wpływają na umoralnienie ludności, które jest, jak wiadomo, jednem z zadań państwa nowożytnego. Dotykamy tu już wyłącznie strony praktycznéj t. j. korzyści tych wszystkich, którzy w sidła przezacnych wekslarzy uwikłać się pozwolą. Rozmaici panowie *bankierzy* (jak się szumnie tytułują w ogłoszeniach kuryjerkowych) z ulicy Senatorskiéj i Krakowskiego Przedmieścia, obiecują wypłacić wygraną na dany numer przypadającą, zaraz po uiszczeniu przez nabywcę pierwszéj raty. Bardzo dobrze, ale jaką wekslarze dają rękojmię publiczności? Wielka np. wygrana w pożyczce premijowéj wynosi rs. 200,000, przypuśćmy, że w miesiąc po uiszczeniu przez dobrodusznego nabywcę pierwszéj raty, na numer jego przypadła właśnie ta wielka suma. Któż nam zaręczy, że wekslarz, którego majątek nigdy prawie nie przenosi i czwartéj części téj sumy, którego interesy wikłają się często skutkiem chciwości zysków i nieproporcyjalności posiadanego kapitału do przedsiębranych obrotów, — że ten wekslarz nie przełoży długiego procesu, a nawet ucieczki za ocean nad uczciwe wyasygnowanie grającemu biedakowi olbrzymiéj sumy? Cóż go od tego powstrzyma? Może moralność? Oj, dajcie mi z nią pokój, bo pewna klasa ludzi tłumaczy ją po swojemu, sumienie ma giętkie. Jest to zresztą oddzielnego rodzaju moralność, ta moralność synów Merkurego jest tutaj. Niech więc publiczność będzie ostrożną z tymi quasi bankierami, szarpiącemi się wzajemnie, gdy jeden z nich obniży cenę nigdy nie doścignionéj nadziei. Zaprawdę tym wszystkim, zwłaszcza z prowincyi pochodzącym ludziom, którzy chwytają się ogłoszeń wekslarskich niby złotego runa w Kolchidzie możnaby przypomnieć słowa sławnego przyjaciela ludzi: a jeżeli kto utrzymuje, że się można inaczéj wzbogacić jak pracą i oszczędnością, powiedźcie mu, że kłamie i że chce was otruć!...

* * *

W Toruniu wychodzi raz na tydzień pisemko rolnicze pod tytułem „Gospodarz.“ Mówimy pisemko, bo objętość jego nie wynosi więcéj jak dwie ćwiartki małego formatu. Zdawałoby się, że objętość taka jest zbyt małą jak na pismo tygodniowe, wszakże przy staranności, z jaką Gospodarz jest prowadzony—i przy szczupłych ramach odpowiada właściwemu celowi, ponieważ artykułów niemających ścisłego związku z rolniczem pismem nie zamieszcza.

Wdobobrze artykułów redakcyja Gospodarza stosuje się do współczesnych potrzeb rolników, z uwzględnieniem szczególniéj Poznańskich, dla których pismo to głównie jest redagowanem. Nie pomija też artykułów ekonomicznych, mających bezpośredni związek z interesami rolnika, regulując takowe tylko do potrzeb chwili.

A ponieważ pismo to przeznaczone jest dla rolników mniéj oświeconych, przezto zawarte w niem przedmioty traktowane są bardzo popularnie. Z tych to powodów uważamy motto zamieszczone na czele tego pożytecznego pisemka:

„I dobytek w dom gromadzi
I o jutrze ciągle radzi”

za właściwe, jako określające cel jego.

Nakoniec, rubryki Gospodarza są systematycznie prowadzone. W każdym numerze znajdujemy artykuł czysto-rolny oparty na ostatnich rezultatach postępu rolniczego,—daléj artykuł ekonomiczny będący w związku z bieżącemi interesami rolnika i wreszcie przemysłowo rolny. Po za temi idzie rubryka rozmaitości, w któréj znaleść można wiel

wchodzi w układy ze swą godnością osobistą lub społeczną, ten już na pół przegrał sprawę; bo bardzo być może, że powoli wejdzie w układy ze swojem sumieniem; a w takim razie nic go już uratować nie zdoła. Przejście to jest bez wątpienia bardzo powolne; trudno je oczywiście porównać z szybkością, jaka dwa poprzednie okresy z sobą połączyła; jest przecież możebne. Kto zna przemianę uczuć, ten zdaniu naszemu nie zaprzeczy. W łańcuchu dość rozluzować jedno ogniwo, ażeby się i reszta z biegiem czasu rozprysła. W uczuciach dość otworzyć maleńką furtkę, dla jednego nieprzyjaznego gościa, ażeby i tysiące innych coraz nieprzyjazniejszych wkręcić się mogło. Takie rozluzowanie uczucia dowodzi braku siły moralnej. Nieszczęśliwy ten, komu tylko fizyczna i materyjalna pozostała; stokroć nieszczęśliwszy, kto ani jednej ani drugiej nie posiada. Jeżeli człowiek stracił już wszystko, co mu poprzednio szacunek lub obawę ze strony spółbraci nakazywało, jeżeli majątek się roztopił z jakichkolwiek bądź przyczyn; jeżeli zaszczyty, któremi się niegdyś pysznił stały się już tylko miłą ale bezowocną pamiątką; jeżeli nauka skutkiem zbiegu rozmaitych okoliczności nietylko chleba ale i sławy nie przynosi; cóż wtedy temu nieszczęśliwemu pozostanie, jeżeli własną godność utraci? Będzie on naówczas bezbronnym w najobszerniejszym kręgu, jaki wyraz ten zakreślić może, bo nietylko w obec sądu ludzi obcych; ale nawet w obec sądu własnego rozumu stanie się zerem.

Z MELODYJ BIBLIJNYCH

K. Ujejskiego.

IV.

MOJŻESZ PRZED ŚMIERCIĄ.

49.... a oglądaj ziemię Chananejską, którą ja dam synom Izraelowym odzierżyć ją a umrzyj na górze.
Deuteronomium Roz. XXXII.

Gwar między ludem.

— Gdzie nasz wódz?
— Stary lew!
— A któż nas powiedzie?
— Mojżesz znikł!
— On co zwykł stawać nam na przedzie.
— Czy się skrył?
— Wszak tu był!
— Snać rozmawia z Panem.
— Bóg wysoko, kraj nieznany, a wróg nad Jor-[danem.
— A cóż poczniem my nieszczęsne z małemi [dziatkami?
— Uciekajmy!!
— Panie, panie, zmiłuj się nad nami!

— Gdzie nasz Bóg?
— Bogi są.
— Kto o Bogi pyta?
— Pójdźże precz.
— Ja mam miecz!
— Jam Pański Lewita
— I cóż stąd?
— Hej na sąd! utłuc go kamieniem.
— Swar na uściech, strach na sercu, klątwa nad [plemieniem.
— A cóż poczniem my nieszczęsne.....
— Płacz niewiast—zaporą!
— W Egipt, w Egipt!
— Zwiń namioty, ruszajmy a skoro.

— W Egipt nam?
— Milsza śmierć niż wtóra niewola!
— Co za wieść?
— Cześć mu cześć!
— Za mną czyja wola!
Silna dłoń, ostra broń, ja was tam zawiodę!
— Silną dłonią z twardej skały czy wyciśniesz [wodę?
— Hej Mojżeszu! nie zostawiaj nas w takiej [ohydzie.
— Jam Mojżeszem, siła Bogiem!
— Cicho, Mojżesz idzie!

(Mojżesz wychodzi z przybytku prowadząc Jozuego).

Mojżesz.

I znowu swar? i znowu krzyk?
zmilknij bluźniercza głowo,
Bo zdeptam cię, jak miły Bóg!
bo zdeptam jak wężową,
Skinę! — a przepaść pod wami otworzę,
Skinę! — a zagrzmi tu czerwone morze,
Zagrzebię, zatopię was.

Ojcowie raz uporem swym
z Jehową gdy się starli,
To błądząc szli przez cały świat,
dopókąd nie wymarli!
I rzekł Pan srogi, co swe słowa iści,
„Do mojej ziemi wejdą tylko czyści,
Wam zatracenie i śmierć!

Patrzałem dziś na piękny kraj
płynący mlekiem, miodem,
A Pan mi rzekł: „Toż dzieci ich
motłochem nie narodem!
Przecz ja mam wpuszczać te niesforne trzody
W moje winnice i w moje ogrody?...
Mojżeszu nie żałuj ich."

Więc ludu ty, sporny a zły,
pokorę przyjm do łona,
Bo dotkniesz się zdroju i gór,
i wonnych winnic grona,
Do Chananejskich przystąpisz krawędzi,
Ale Bóg nazad od wrót cię odpędzi
W puszczę na hańbę i głód.

A kiedy tam zmorzony snem
na martwych legniesz piaskach,
To będziesz śnić o ziemi téj,
o jéj czarownych blaskach,
I wyschniesz duszą od długiéj tęsknoty,
I zwisłe głowy w grobu piasek złoty
Z radością sam będziesz kładł.

A mówię ci, że jeszcze czas,—
ta ziemia obiecana
Przed tobą lśni,—ja tylko sam!
ja wrócę sam do Pana,
Na mojem miejscu Jozue syn Nunów,
On co ma władzę cudowną piorunów,
On będzie przed wami stać.

Lękajcież go, bo straszny on,
Jehowa go postawił
Jak z ognia słup;—włożeniem rąk
jam go pobłogosławił,
Błogosławieństwo i wam rzucam z dłoni,
Błogosławieństwo wodom, ziemi, broni,
I błogosławieństwo wszem!

(Mojżesz zakryty obłokiem wstępuje na górę).

Głos ludu.

Odszedł nas smutny, płaszczem kryjąc twarz,
Poruszył go żal głęboki,
Milszym tyś dla nas, o! Mojżeszu nasz,
Niż Jozue chmurnooki.
Zawyjmyż płaczem by aż ziemia brzmiała;
Chwała mu, chwała i chwała!

---

pożytecznych rad gospodarskich, lub innych wiadomości, przydać się mogących rolnikowi—w końcu zaś ceny targowe toruńskie i gdańskie.

Prenumerata wynosi w Warszawie kopiejek 80, na prowincyi rs. 1 kop. 50 rocznie. Szczerze zalecić możemy pisemko to rolnikom naszym.

* * *

W mieście Mławie krzątają się około założenia Towarzystwa spożywczego i kasy pożyczkowéj pod nazwą „Postęp." Celem tego Towarzystwa ma być dostarczanie swym członkom niezbędnych artykułów potrzeb domowych i gospodarskich w dobrym gatunku, po cenach niższych niż miejscowe ceny targowe, jak również udzielanie im pożyczek pieniężnych. Towarzystwo w miarę zwiększania się funduszów zakres działalności swojéj rozszerzać zamierza. Przyjmować będzie na skład małe sumki pieniężne i urządzi rodzaj kasy oszczędności. Zawiąże stosunki z Warszawskiem Towarzystwem Wzajemnego Kredytu i Bankami; i członkom swoim otworzy kredyt w tych zakładach. Rzemieślnikom zdolnym i pracowitym, a ubogim będzie udzielało pożyczki sposobem amortyzacyjnym. Nakoniec, część czystego zysku obróci na worzenie Biblijoteki, z któréj członkowie korzystać będą mogli, bez żadnéj opłaty. Taki jest cel Towarzystwa, jak opiewa projekt ustawy, zakomunikowany Kuryjerowi Rolniczemu. Projekt to dobry i pożyteczny, któremu życzyć należy jak najszerszego poparcia ze strony publiczności mławskiéj i okolic, bo tylko przy licznym udziale i umiejętnem kierownictwie spodziewać się można pomyślnych rezultatów dla stowarzyszonych. Płockie Towarzystwo „Zgoda" jako starsza siostra, zrodzić się mającego mławskiego „Postępu" może być dla niego wzorowym przykładem.

Wogóle objawiający się w kraju naszym ruch zespalających się sił na drodze ekonomicznéj jest wyrazem praktycznego pojmowania życia społecznego, którego dobrobyt ostatniemi czasy tak silnie zachwiany został, a którego podźwignięcie powinno być przedmiotem jak najenergiczniejszych wysileń naszych.

* * *

Przed dwoma laty dużo mówiono i pisano o potrzebie wystawienia odpowiednich domów na mieszkania dla uboższych klass ludności naszego miasta. Echa te jednak przebrzmiały, tak jak wiele innych projektów, mających zrodzić radykalną ulgę w życiu uboższéj ludności. Jużto szczególniéj w kwestyi mieszkań i w kwestyi budowlanéj nie jesteśmy ani szczęśliwi, ani pomysłowi. Projekt mającego się zawiązać od kilku lat w Warszawie Towarzystwa budowlanego, dopiero teraz pod zatwierdzenie władzy, jak donoszą z Petersburga, poddany został. A jednak kwestyja mieszkań, szczególniéj mniejszych, oddawna już domaga się należnego jéj w Warszawie prawa obywatelstwa. Nic jeszcze u nas na téj drodze niezrobiono. Pewne dzielnice miasta zapchane są nawałem biedniejszéj i pracującéj ludności, która w cuchnących brudach pędzi niezbyt ponętny żywot. Całe rodziny robotników mieszkające w wilgotnych i zgnilizną przesiąkniętych suterenach, a nawet po kilka rodzin, złożonych z kilkunastu nieraz osób, mieszczących się w jednéj izdebce, choćby tylko ze względów sanitarnych, powinny zwrócić na siebie właściwą uwagę. Takie dzielnice jak Stare miasto, Bugaj, Kamienne schodki i inne obok tych położone, jak również Tamka, zamieszkałe przez ludność chrześcijańską, daléj zapchane proletaryjatem żydowskim, smutniejszy jeszcze widok, pod względem brudu i niechlujstwa przedstawiające, jak: ulice Franciszkańska, Wołowa, Nalewki, Muranów, Grzybów, jakby jakie kałuże ziejące zgnilizną, są często źródłem rozlicznych chorób i zawsze przyczyną szerzenia się epidemij

GAWĘDY

T. T. Jeża.

(Dokończenie)

Rolnictwo jest zarazem rzemieślnictwem, fabrykacyją i handlarstwem. Warsztatem tu—rola, fabryką—narządy, naczynia i zabudowania, w których przysposabia się nawóz, prassuje pasza, oczyszcza zboże; biurem handlowém— kancelaryja gospodarska, targowicą-giełda, na któréj zboże tak podlega *hausse'om* i *baisse'om*, jak każdy przedmiot spekulacyi, jak każdy papier, wyobrażający przedsiębiorstwo jakoweś, które go ewikcyjonuje. Jakichże to rozległyeh potrzeba wiadomości, ażeby gospodarstwo rolne módz prowadzić jak należy! A każda z wiadomości tych wkracza w zakres umiejętności, należących do sfer najwyższych naukowości. Znajomość roli, znajomość roślin, znajomość chowu bydła wymagają znajomości nauk przyrodniczych, część fabryczna odnosi się do technologii i mechaniki, część handlowa wymaga znajomości nauk stanu, wykładanych po uniwersytetach niektórych, na wydziałach kameralnych, na których rolę główną odgrywa ekonomija polityczna. Posiadając te nauki, o których gospodarzom dawniejszym ani się śniło, jest się rolnikiem dostatecznie ukwalifikowanym, zdolnym do tego, ażeby nie pozostawać z tyłu, nie wlec się za innymi, nie być ślepego trafu niewolnikiem. A cóż dopiero, gdy ambicyja lub zamiłowanie popycha kogo naprzód! Takiemu nie dość umieć biernie—w rękach takiego rola zmienia się w pewien rodzaj pracowni chemicznéj, w któréj czynią się doświadczenia i odkrycia, idące na pożytek ogółu. Im rolnik umie więcéj, tém dla niego i dla drugich lepiéj, a im gospodarstwo mniejsze, tém więcéj mu umieć potrzeba. Człowiekowi, posiadającemu kwalifikacyje gospodarskie, odpowiednie potrzebom chwili bieżącéj, grzęda przynosi korzyści większe, aniżeli nieukowi majątek duży.

Cóż to za różnica z czasami dawniejszemi, a nie zbyt dawnemi! Nie jestem jeszcze starcem; zapamiętam jednak, jak litowano się powszechnie nad tymi, co, po ukończeniu nauk... „zagrzebywali się na wsi." Zagrzebać się na wsi, człowiekowi co coś umiał, uważało się jako nieszczęście. I był to, rzeczywiście, nieszczęścia rodzaj. Dostawało się bowiem w odosobnienie, trzeba było zapomnieć wszystko i uczyć się rolnictwa od włódarza, trzymającego się ślepo praktyk starych. Człowiek nabywał powagi, kołowaciał i urabiał się na typ, piękny pod względem plastycznym, lecz nieruchomy. Był to posąg, wzbudzający admiracyją w parafii, do któréj należał, posąg kamienny, porastający na miejscu mchem dobrobytu dla tego jedynie, że współzawodnictwo, mchu tego z niego nie obdzierało.

A niechżeby kto teraz spróbował mchem, po staremu, na miejscu porastać!

Zmieniły się czasy, niestety! Trzeba się uczyć. Zmieniły się stosunki i postać rzeczy. Obecnie typ gospodarski inaczéj się już przedstawia. Dawniejszą poważną nieruchomość zastąpiła ruchliwość, obejmująca zarówno sferę fizyczną i umysłową. Nie dość trzymać się przysłowia „oko pańskie konia tuczy", trzeba jeszcze umieć i rękę nieraz samemu przyłożyć, dać przykład, pokazać, a przytem, myślą w nieustannėm natężeniu, być obecnym wszędzie, gdzie się ważą rolnictwa, lub innego jakiego— jeżeli gospodarz rolnikiem nie jest—fachu losy. Pod względem rolniczym, np., Ameryka czyni nam konkurencyją, któréj nie wytrzymamy, jeżelibyśmy przy praktykach gospodarskich upierać się chcieli i dla tradycyi postępowość racyjonalną odrzucali. Rolnik w skromnym zakresie swojéj działalności, musi mieć Amerykę na myśli i na uwadze, wiedzieć o niéj, znać ją, interesować się nią; stosunek bowiem rolnictwa amerykańskiego i naszego podobnym jest do stosunku wzajemnego dwu mocarstw wojujących. Ameryka jest naszą spółzawodniczką, przeciwniczką, musimy więc ją znać, ażebyśmy nie wyszli jak Francyja w wojnie z Niemcami. Musimy znać innych, dla ułatwienia i umożliwienia sobie poznania siebie samych; musimy znajomość tę podpierać ogromną rezerwą wiedzy, uszykowanéj systematycznie w głowach naszych, dla tego ażeby zdobyć możliwość wyciągania pożytku jaknajwiększe z tych sił, któremi rozporządzamy i z tych okoliczności śród których stoimy. Wiedza, nauka, jest potęgą zdobywczą; bez któréj obejść się nie sposób nikomu, kto się w stanie dorobku znajduje.

A czy jest kto, o kim by powiedzieć można, że dorobkowiczem nie jest?.. Społeczność ludzka, w chwili obecnéj, z samych dorobkowiczów się składa, którzy, spostrzegłszy się, że sam spryt i sama przebiegłość nie wystarczają już na polu współzawodnictwa, szukają sposobów w nauce i za jéj pomocą pobijają nietylko najpoważniejszych spadkobierców wielkich fortun, trzymających się tradycyi, ale i najprzebieglejszych nieuków.

Z DZIEDZINY MOWY.

I.

Wstęp.—Metoda porównawcza. —Jota i kobieca natura. Walka o byt. — Inne pytania.

O kwestyjach językowych pisma nasze niezbyt chętnie rozprawiają; uważają je bowiem za tak suche, że wykrojenie z nich jakiegoś przyjemnie czytającego się artykułu do krainy mitów zaliczają. Możnaby poprzestać na skonstatowaniu tego faktu i... nic nie pisać. Rozpatrując jednak cel i zadanie pism peryjodycznych, niejednokrotnie przyjść musimy do znaku zapytania, który wytłumaczywszy sobie na język powszechnie zrozumiały, otrzymamy w rezultacie tak sformułowane zagadnienie: Czy pisma powinny być pochlebcami, starającemi się jedynie o uprzyjemnienie żywota swych bliźnich, czy też rozszerzycielami prawdy w tym lub innym kierunku? Zdaje mi się, że tam, gdzie nie idzie o czystą spekulacyją, gdzie się zwraca uwagę na postęp wiedzy, będącej podwaliną potęgi, odpowiedź musi brzmieć w sposób potwierdzający drugą część powyższego okresu. W zastosowaniu tej uwagi do obchodzącego nas właśnie wypadku, potrzeba się zgodzić na jedno: albo dbać o język własny, ów wielki skarb społeczny przechodzący z pokolenia na pokolenie, albo też najzupełniej się nim nie interesować; najgorsza jest w każdym razie obojętność i milczenie, chociażby nawet szacunku pełne. My przerywamy milczenie i przechodzimy do spraw językowych.

Bardzo rozpowszechnione jest u nas mniemanie, że każdy, co skończył pierwszą klasę na pensyi lub w gimnazyjum może już wydawać sąd ostateczny, bez apelacyi o wszystkich kwestyjach, które nasuwa nam pod uwagę mowa rodzinna. Z takiego punktu zapatrywania się wychodzą samorodni nasi

---

w mieście. Jest to fakt dowiedziony, bo sprawdzony we wszystkich większych miastach Europy. Możemy nawet dowieść tego na liczbach, podanych przez D-ra Schwabe, dyrektora miejskiego statystycznego biura w Berlinie. I tak: w Londynie na 1 dom przypada 8 osób, w Berlinie 32, w Paryżu 35, w Petersburgu 52, w Wiedniu 55. W takim też rosnącym stosunku zwiększa się śmiertelność: w Londynie bowiem na 1000 osób umiera 24, w Berlinie 25, w Paryżu 28, w Petersburgu 41, a w Wiedniu 47. W tym samym porządku idzie stosunek dzieci nieprawych: na Londyn przypada 4%, na Berlin 16%, na Paryż 20%, na Petersburg 26%, na Wiedeń 51. Widzimy więc, że kwestyja mieszkań nietylko jest złączona z kwestyją śmiertelności, ale po części i moralności. Potrzeba więc ulepszeń budowlanych, nietylko w rozwalaniu i przebudowywaniu starych przegniłych domów w wyż wymienionych dzielnicach naszego miasta, ale i w budowie nowych domów, z odpowiedniemi mieszkaniami dla klasy roboczéj, w dzielnicach jeszcze niezabudowanych, a nieco odleglejszych od środka miasta, jest bardzo naglącą. Na placach nam niezbywa, dosyć nawet szczęśliwą jest pod tym względem Warszawa, posiada wiele bardzo pustych i za bezcen nabyć się mogących przestrzeni, na których by można dostateczną liczbę potrzebnych właśnie domów zabudować. Idzie tylko o przekonanie naszych *krezusów*, bezmyślnie i wygodnie topiących kapitały swe w akcyjach i listach, że nietylko obcinanie kuponów ma być zadaniem kapitalisty, ale także i praca na drodze ulepszeń bytu niektórych warstw społecznych, gdy kapitały jego mogą być jedną z najdzielniejszych dźwigni tych ulepszeń.

Zwrócenie kapitału w tym kierunku dać może to samo, a nawet więcéj co dają kupon i dywidenda i mniéj go naraża na ryzyko, aniżeli akcyje, których summa przewyższa nieraz realną ich gwarancyją.

Nakoniec taki zwrot kapitału w kierunku ulżenia pracującéj ludności powinien być pojęty jako obowiązek—bo źródłem wzrostu kapitału jest właśnie praca biedniejszych warstw społecznych.

* * *

Tygodnik przemysłowo-handlowy zapowiedziany przez pana Stanisława Czarnowskiego, pod którego redakcyją od 1-go Października r. b. ma wychodzić w Warszawie, powiększy liczbę naszych pism specyjalnych, któreby w tym właśnie kierunku rozwijać się powinny. O *Tygodniku handlowym* można dobrze wróżyć, jeżeli wypełni obfity nader program, zawierający ośm działów odnoszących się przeważnie do handlu. Jakkolwiek są u nas tacy, co ustawicznie narzekają na brak ludzi, mamy niepłonną nadzieję, że nowy redaktor wierzący wraz z całą młodzieżą w możność postępu, przekona niewiernych, iż są u nas ludzie, co pisać umieją nawet w kwestyjach specyjalnych. Trzeba ich tylko wyszukać i odpowiednio wynagrodzić za pracę, a nie czekać z powagą w redaktorskim krześle, rychło li przyjdzie jaki specyjalista, który lata całe strawił na badaniu i zdobywaniu wiedzy i poprosi pana redaktora o łaskawe zamieszczenie jego artykułu..... Połączenie wiedzy teoretycznej z praktyką, jak to nam obiecuje p. C. powinien nowy *Tygodnik* uważać za główne zadanie. Spełnienia tego zadania życzymy mu z całego serca....

lingwiści, poprawni ortografowie i zdolni etymologowie, rozprawiający z aplombem, wprawiającym w zachwyt tych, którzy o podobnych rzeczach słyszą po raz pierwszy. Ta skłonność do *takiego* samoistnego (t. j. nienaukowego) traktowania spraw językowych u ludzi nawet posiadających wyższe wykształcenie i z inną zresztą gałęzią umiejętności ludzkich dobrze obeznanych przechodzi w pewnego rodzaju maniją, której przykład w wieku XVII daje nam *Dębołęcki* a w naszych—zasłużony skądinąd *Jocher* (zobacz *Harmoniją Mów*).

Tymczasem nauka mowy weszła w naszem stuleciu na drogę, która przedtem nikomu nawet na myśl nieprzychodziła i oparłszy się na metodzie porównawczego badania wszystkich języków pokrewnych w dalszym lub bliższym stopniu, zyskała sobie trwałą podstawę, na której buduje pewniki naukowe nie zaś fantastyczne chimery. Za granicą pracują na tem polu po śmierci Wilhelma *Humboldta* (brata Aleksandra), Franciszka *Boppa* i Augusta *Schleichera*, głównie H. *Steinthal*, *Maks Müller*, *Pott* i kilku innych, którzy obeznawszy się z sanskrytem, jako językiem posiadającym najstarsze formy w całej grupie języków *indoeuropejskich*: (obejmującej: staroperski, grecki, łaciński [1]), dalej celtycki, germański, słowiański i litewski), wyprowadzają spólne prawa językowe dla owej grupy. Na polu badań języków słowiańskich zasłużył się głównie *Miklosicz*. U nas pracują w tym kierunku pp. Małecki, Przyborowski a głównie ks. *Malinowski*. Nie mamy tu zamiaru wchodzić w ocenę tych prac ani nawet nie postaramy się określić bliżej metody, jakiej się ci uczeni w badaniach swoich trzymają; być może w przyszłości będziemy mogli to uskutecznić; obecnie chcieliśmy tylko podać główniejsze nazwiska, które powinny przekonać ludzi nieobeznanych bliżej z przedmiotem, że umiejętność mowy ma swoich specyjalnych pracowników, że nic tu już nie pomoże dyletantyzm;—a ów aforyzm będący bardzo w modzie, jakoby każdy znał najlepiej język, którym przecież mówi codziennie nie ma już żadnego w świecie naukowym kredytu. I powietrzem oddychamy co sekunda a jednak nie każdy zna jego skład i własności, utrzymujące organizmy przy życiu. Objaśnijmy to na przykładzie. Tak np. weźmy przymiotnik *ludzki*. Wszyscy go znają i wiedzą, co oznacza; a jakże niewielu jest takich, coby potrafili skład jego wyjaśnić! Zdawałoby się, że jest to wyraz jednolity, jakby z jednego kawałka marmuru wykuty; a jednakże nauka rozróżnia w nim aż *cztery* części. Widzę już zdumienie nie jednego z czytelników... Jeżeli się jednak wytłomaczę, nie wyda się to rzeczą tak dalece cudowną. Przedewszystkiem jest *temat* (zwany inaczej *źródłosłowem*), *lud*, który mógłby być *pierwiastkiem* t. j. najpierwotniejszym znanem nam brzmieniem, gdybyśmy wykazali, że nie ma już krótszej formy. Nie rozstrzygając tego pytania, idziemy dalej. Od tematów rzeczownikowych (lud), urabiają się tematy przymiotnikowe (ludzki) przez dodanie rozmaitych *przyrostków*, które niegdyś miały samodzielne znaczenie a obecnie służą tylko do uformowania pewnych wyrazów. Jestto więc druga część składowa. Przyrostki te przyczepiają się do tematu rzeczownikowego zwykle za pomocą *spójki*, — trzecia część składowa—którą tutaj jest *j*; — otrzymamy więc wyraz *ludjsk*; ostatnia głoska t. j. *i* jest *cechą rodzajową* zmieniającą się dla oznaczenia trzech oddzielnych rodzajów (*i, a, e*).—i stanowi czwartą część składową. Wszystkie te sposoby urabiania wyrazów, cała teoryja tematów, przyrostków, spójek i cech rodzajowych, rozbiera i na podstawie porównania z innemi językami indoeuropejskiemi (czyli *aryjskiemi*) lub przynajmniej słowiańskiemi objaśnia i tłumaczy osobny dział nauki, zwany *etymologiją* (*słoworodem*). Jestto dział przedstawiający największej trudności i najczęściej prowadzący na fantastyczne manowce, od których ochronić jedynie zdoła wielkie obeznanie się z językami i wielka ostrożność w rozkładaniu wyrazów na części składowe. Etymologizowanie poszło w poniewierkę, ludzie wiedzący o tej nauce tyle tylko, ze podług niej Adam i Ewa znaczy *jadam* i *jewa*, nie mogą zrozumieć, żeby podobne kwestyje dały się traktować na seryjo i żeby one doprowadzały do czegoś pewnego, pozytywnego. A jednakże przykład takiej pracy, która przyniosła owoc niepodejrzanej dobroci, bardzo blisko znaleśćby można. Kto czytał pierwsze rozdziały historyi Rzymskiej *Mommsena*, ten nie mógł się wydziwić, skąd uczony niemiecki mógł wydobyć tak interesujące szczegóły o pierwotnej cywilizacyi indo-europejskiej w ogóle i grecko rzymskiej w szczególności, kiedy nie mamy z owych czasów żadnych piśmiennych zabytków! Prawda; ale mamy natomiast język, w którym odcisnęły się wyraźnie ślady ówczesnej kultury; badając więc pierwiastki wspólne Indoeuropejczykom i samodzielne grecko-rzymskie, zdołał Mommsen przyjść do pewnych wniosków, których trafność zaszczyt przynosi jego talentowi i nauce. (*D. n.*)

[1]) I wszystkie pochodzące ze zlania się języka łacińskiego z innemi np. francuski, włoski, hiszpański i t. p.

LISTY Z POZNANIA.

I.

Uprzedzam szanownych czytelników i piękne czytelniczki *Opiekuna Domowego* zaraz na wstępie, że nie będę im pisał ani o bankach poznańskich, ani wyliczał sztuk grywanych u nas—jest to bowiem specyjalnością niektórych korespondentów do pewnych pism warszawskich—lecz rzucę raczéj kilka uwag o życiu umysłowem i literackiem miasta naszego.

Pozwólcie jednak, że przedewszystkiem, dla wyjaśnienia sytuacyi, pomówię o Kronice Poznańskiej, umieszczonej w Nr 369 Kłosów a traktującéj głownie o teatrze. Wywołała ona w Poznaniu wcale niekorzystną dla pisma tego sensacyją. Jakkowiek podzielam zupełnie oburzenie powszechne przeciw niesumienności Korespondenta, nie przypisuję przecież redakcyi *Kłosów* winy. Gdyby Poznań był dostarczył pismu temu stałego korespondenta, nie byłaby zapewne redakcyja przyjęła reklamy, napisanej *sobie* przez dyrektora teatru krakowskiego (ex ungue leonem) a upstrzonej tylko (dla zachowania pewnego decorum) wstępem przemysłowo-handlowym, wzmianką o dziennikarstwie, o zaręczynach ks. Sułkowskiego z hrabianką Alcantara, o angielskiem urządzeniu ogrodu i pałacu p. Potockiego, jakoteż o gościnności domu pp. Ignaców Grabowskich „stojącego otworem dla wszystkich ludzi dobrze wychowanych."

Nie myślę bynajmniej sprzeczać się z Korespondentem o piękność artystek teatru krakowskiego, bo przed niot ten nie wchodzi w zakres mojej kompetencyi. Trzeba być zaprawdę specyjalistą, aby z taką znajomością rzeczy zaznaczyć delikatne odcienia tych „niepospolitych piękności" trzeba mieć nader bystrą imaginacyją aby w pannie Bendównie (a raczej wp. Bendziance, jak chce profesor Skobel) widzieć typ gruzyjski, w p. Hoffmann *beante du diable*, w pannie Urbanowicz *vieux saxe* i t. d.

Korespondent zachwala szczęśliwy wybór sztuk i wykwintny kierunek literacki teatru, choć wymienione przezeń sztuki, jak to przyznaje niezbyt wybredny korespondent do *Wieńca*, nie dowodzą tego wcale—choć zdarzało nam się nieraz słyszeć ze sceny, okropne barbaryzmy językowe—a co do „*znakomitości i pierwszorzędnych talentów*" oświadczamy sumiennie, że widzieliśmy tylko jednego znakomitego artystę, t. j. p. Rychtera, p. Hoffmann bowiem i p. Benda zbyt często występowali w niewłaściwych rolach, abyśmy z gry sądząc, do pierwszorzędnych talentów zaliczyć ich mogli. Dość powiedzieć wreszcie, że teatr krakowski nie ma zgoła ani pierwszego ani drugiego kochanka (p. Leszczyński zaledwie na miano trzeciego zasługuje), aby nabrać wyobrażenia o jego „niemałej doskonałości... Sam p. Rychter, reżyser teatru, mówił mi, że po wyjeździe Bol. Ładnowskiego, jest w prawdziwym kłopocie jak zastąpić jego ubytek.

Mówiąc o recenzyjach teatralnych w pismach tutejszych, powiada korespondent, że były nieraz śmieszne". Wyjątek stanowiły tylko „nadzwyczaj dobrze pisane artykuły o teatrze w *Kuryjerze Poznańskim*, z wielką znajomością literatury i teatru. Są one pióra znakomitego tutejszego literata, którego dopiero (słuchajcie) obecność teatru krakowskiego rozgrzała i zachęciła. Rzadko czytać można coś tak wytrawnego o teatrze, chyba u was."

Przytoczyłem z umysłu cały ustęp o poznańskiej krytyce teatralnej, dla wykazania, jak daleko posunąć się może publicystyczna nieuczciwość. Zrozumiecie rzecz całą, gdy powiem, że owym „znakomitym *tutejszym* literatem" jest znowu, co dziś Poznaniowi nietajno, p. Stan. Koźmian... Nie przeczę, że pisarz to bardzo zdolny—lecz sprawozdania do *Kuryjera Poznańskiego* widocznie pisał na kolanie aby pióra jego nie poznano. To też nierównie lepsze były recenzyje umieszczane w *Tygodniku Wielkop.* i w pierwszych tygodniach w *Dzienniku Poznańskim* lubo na nie korespondent rzuca klątwę śmieszności..

Jesteśmy przekonani, że p. Koźmian wie dobrze, jak się pisać powinny przeglądy teatralne, lecz że przyzwyczajony do banalnych pochwał dzienników krakowskich, rozdrażniony surowszemi, bo ze stanowiska estetycznego pisanemi artykułami recenzentów poznańskich, w ten sposób chciał się na nich pomścić. Dziennikarze nasi, przywyczaili nas niestety aż nadto do bezwstydnych reklam, pomimo to bardzo nam dziwno i boleśnie, gdy widzimy człowieka wykształconego, dyrektora teatru, współredaktora *Przeglądu polskiego* i byłego posła na sejm wiedeński, ubiegającego się o palmę pierwszeństwa w dziedzinie humbugu—gdy widzimy jak na wzór Hoffa i Kwizdy, najprzód wynosi pod niebiosa zasługi swoje jako dyrektora w *Kuryjerze Poznańskim*, a następnie w *Czasie* i *Kłosach* wychwala znów siebie i recenzyje swoje drukowane w *Kuryjerze*.

Ogólnikowe wyroki korespondenta o dziennikarstwie tutejszem, dowodzą zupełnej nieznajomości stosunków i wielkiej stronniczości ze strony piszącego. Twierdzi on, że przed rokiem było u nas tylko jedno pismo, redagowane w języku polskim—i że dopiero później powstało „*raptem*" kilka innych.

Oceniając kierunek dzienników, odzywa się korespondent o *Kuryjerze* (co nas wcale nie dziwi) z największemi pochwałami. *Tygodnik Katolicki* zaś gani z powodu dążności ultramontańskich i gwałtownej polemiki z *Dziennikiem Poznańskim*. Rozumiemy i szanujemy wszelkie w dobrej wierze wypowiedziane zdania, lecz nie pojmujemy takiej niekonsekwencyi. Wiadomo bowiem że *Kuryjer* ma zupełnie też same dążności, co *Tygodnik*, że obydwaj w zwartym szyku i równie, nieomal gwałtownie występują przeciw całej literalnie prasie, na-

wzajem się chwalą i cytują. Jedno z pism tutejszych nazwało *Kuryjera* bratem mlecznym *Tygodnika Katolickiego*, nazwa ta jest bardzo trafną, bo obydwa pisma mają wspólnego ojca w osobie słynnego ks. Jana Koźmiana. Jestto człowiek bardzo zdolny i jego to wstępnym artykułom o kaznodziejskim zakroju i na Veuillot'owską modę pisanym, zawdzięcza Kuryjer powodzenie w kołach ultra-katolickich.

Całe zresztą wydawnictwo *Kuryjera*, będące prostą spekulacyją, świadczy o zupełnym braku zasad w dziennikarzach ultramontańskiego obozu. Dwu jego redaktorów wchodziło niedawno w skład redakcyi liberalnego *Dziennika Poznańskiego* trzeci jest kalwinem, patronem i głównym współpracownikiem, właścicielem zaś żyd, wydający nadto skranjo-niemiecki organ, *Ostdeutsche Zeitung*. Ludzie ci bez najmniejszej wiary w sprawę, kruszą kopie w obronie zastarzałych przesądów, dla tego jedynie, że im to daje utrzymanie. Pod względem literackim nie ma *Kuryjer* żadnej wartości! Fejleton zapełniał potwornym przekładem romansu Oktawa Feuillet'a, wcale nieodpowiednim dla tak moralnego pisma, p. t. *Julia Trecoeur* i odczytem p. Czesława Pieniążka, stanowiącym zbiór komunałów o autorkach polskich, przeplatany spisem ich dzieł i wyjątkami z tychże.

Nie wiele większą wartość pod względem literackim ma *Dziennik Poznański*. Pismo to w ciągu kilkunastoletniego żywota, położyło przecież niemałe zasługi około dobra prowincyi. Przekonania jego niezmienne, zawsze dobro publiczne mające na celu, śmiałość w wypowiadaniu zasad, choćby się takowe nie podobały potężniejącej coraz bardziej w Poznaniu koteryi ultramontańskiej, prawość ludzi stojących u jego steru, oto przyczyny dla których *Dziennik Poznański* cieszy się ogólną sympatyją i słusznie za reprezentanta dzielnicy naszej bywa uważanym. Siły jednak współpracowników są zbyt słabe, aby mogły podołać zadaniu. To też równie dział polityczny, zaniedbany do wysokiego stopnia pod względem języka, jak literacki, obrabiane bywają bardzo nieudolnie. O książkach wychodzących w samym Poznaniu, z *Dziennika* nigdy się nie dowiesz, chyba że wyszły nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, cieszącej się wszelkiemi względami poznańskiego *Timesa*. O innych dziełach, zwłaszcza od czasu gdy ś. p. Józef Narzymski zachorowawszy pisać doń przestał, tylko przypadkowo znaleźć można wzmiankę w *Dzienniku*,— i tak ostatniemi dniami zabłąkała się tam recenzyja powieści Al-hakim. Brak ten zastępuje redakcyja oryginalnemi powieściami Kraszewskiego, Zacharyjasiewicza i t. d. Drukująca się teraz powieść p. Morzkowskiej, p. t. *Róża, studyjum małżeńskie*, należy niewątpliwie do najsłabszych jej utworów. Nawet styl autorki zwykle tak świetny, staje się tu rozwlekłym i niezręcznym.

O *Ziemianinie*, tygodniku przemysłowo-rolniczym, nie będąc specyjalistą nic powiedzieć niemogę. *Tygodnik Katolicki*, znany wam zapewne z opinii wywija jak zwykle, na wszystkie strony pięścią i spiera się obecnie z *Dziennikiem Poznańskim* o cud na jakimś komiinarczyku spełniony. *Przyjaciel dzieci i młodzieży* pod redakcyją J. Chociszewskiego, karmi się samemi przedrukami. *Orędownik*, pismo dwudniowe, przeznaczone, dla klas średnich, grzeszy brakiem taktu, krewkością i zmiennością redaktora, Dra Romana Szymańskiego, człowieka wolnomyślącego, a piszącego dziś w duchu ultramontańskim.

Wszystkie te pisma razem wziąwszy nie mają nawet 5000 abonentów. *Przyjaciel ludu* wychodzący w Chełmnie pod redakcyją Ignacego Danielewskiego, ma sam jeden więcéj prenumeratorów. Podana powyżej cyfra, świadczy, jak mało publiczność poznańska skłonną jest do czytania. Mniej jeszcze amatorów od peryjodycznej, znajduje literatura książkowa.

I tak czy uwierzycie, że wydanej przed dwoma laty rozprawy Karola Libelta *O kometach* nie sprzedano w Poznańskiem *ani jednego egzemplarza*.

Nie mniejsza obojętność i nieporadność panuje w innych przedsiębiorstwach publicznych, jak w towarzystwie oświaty ludowej, rozporządzającem znacznemi funduszami, i w stowarzyszeniu budowy teatru. Obiedwie te instytucyje cieszyły się wielką sympatyją całego społeczeństwa poznańskiego — lecz bezczynność i niewłaściwe postępowanie ludzi stojących u steru, zniechęciły większą część publiczności. Dyrekcyja *towarzystwa oświaty ludowej* rozpisała konkursy na dziesięć książek ludowych albo już istniejących albo też niewłaściwych (między innemi na rozprawkę o *potrzebie oświaty i jéj błogich skutkach)* a rada nadzorcza teatru kierując się osobistemi względami wybrała na budowę gmachu miejsce ciasne i bez zajazdu. Na szczęście policyja tą razą uprzedziła życzenie publiczności, zakazując budowy w tem miejscu ze względu na publiczne bezpieczeństwo.

* * *

OSADY ROLNE I PRZYTUŁKI RZEMIEŚLNICZE,

przez **Feliksa Ehrenfeuchta.**

(Dokończenie).

Ponieważ zakład jest przeważnie rolniczym umieszczone w nim dzieci zajmują się przedewszystkiem rolnictwem, jakkolwiek każde z nich obowiązane jest nauczyć się jakiegoś rzemiosła, stosownie do własnego wyboru, chęci i zdolności. Wszelkie rzemiosłowe potrzeby zakładu i narzędzia rolnicze wykonywane są przez wychowańców, raz dlatego, by o ile możności jak najwięcej się uczyli, powtóre, by zakład sam sobie wystarczył, jak najmniej wydając na konieczne potrzeby.

Zwierzchność zakładu składa się z dyrektora, lekarza, kapelana, dwu nauczycieli, agronoma, dwu pisarzów, nauczyciela gimnastyki, uczącego sztuki żeglarskiej, głównego dozorcy, sześciu zwyczajnych i dwu kandydatów na dozorców. Prócz tego jeden z nauczycieli uczy zarazem grania na instrumentach, drugi śpiewu chóralnego. Każdy dozorca posiadać musi jedno rzemiosło, którego obowiązanym jest uczyć pewną liczbę wychowańców. Wynagrodzenie roczne zwierzchności szkolnej wynosi rs. 5,000. Zakres nauk udzielanych wychowańcom nie przechodzi stopnia zakresu elementarnych wykładów wiejskich, przyjętych w Belgji, uczą tam religi, czytania, pisania, rachunków pamięciowych, muzyki i śpiewu chóralnego. Rolnistwo i gospodarstwo udzielane jest przez agronoma i ogrodnika ustnie, sposobem opowiadania z zastosowaniem praktycznem, przyczem wszelkie objaśnienia tak co do konstrukcyi maszyn i narzędzi rolniczych, jak również co do ich celu i użycia bardzo jasno są udzielane. Jest to sposób nauczania bardzo praktyczny i łatwo objaśniający przedmiot. Podział czasu na naukę i pracę w polu, oraz na muzykę i śpiew jest zastosowanym do sił wychowańców.

W roku 1855 skutkiem przepełnienia liczby wychowańców wystawiono nowy budynek na 100 przeszło chłopców, mających chęć i powołanie do marynarki.

Jestto więc oddział osobny, kierujący wychowańców na majtków, którzy obok tego uczą się ciesiołki i rolnictwa.

Postępowanie zwierzchności szkolnej z wychowańcami jest nader łagodne, oparte na podstawie wyrabiania w nich ambicyi. Dla tego też kara cielesna jest zupełnie wykluczoną z zakładu, a największym stopniem kary jest areszt.

Liczba wychowańców w pierwszym roku założenia osady tej wynosiła 120, w lat 10 potem doszła do 600, a wkrótce potem wzrosła do tysiąca.

Przeszło 600 wychowańców chlubnie ukończyło szkołę, 150 z nich wstąpiło do służby okrętowéj, reszta zaś zajmuje się rolnictwem i rzemiosłami; bardzo małą liczbę odtrącić należy na śmiertelność, która była nieznaczną.

Jak widzimy, organizacyja tego zakładu jest przyzwoitą i pożyteczną, kształci na drodze zepsucia będących chłopców i wyrabia na ludzi, pokrzepia ciało, wzmacnia siły i ugruntowywa charakter, a chłopiec, wyszły z takiego zakładu z pogodnem obliczem, z podniesionem czołem patrzy wesoło na świat i ludzi z pewną wdzięcznością dla społeczności, za której przyczyną nauczono go żyć, myśleć i pracować.

Zakład podobny dla dziewcząt założony w Berneem w r. 1853 mieści w sobie 300, pod dozorem 9 zakonnic wychowujących się, dziewczyn które tak jak chłopcy z Ruysselede uczą się w właściwej szkole niektórych stosownych dla kobiet rzemiosł, przy kształceniu się w właściwych zajęciach kobiecych; w chwilach zaś wolnych od tych zajęć pracują na roli.

W kraju naszym los nieletnich przestępców obudził także litość niektórych dbających o dobro społeczne obywateli. Już w r. 1828 Fr. hr. Skarbek na posiedzeniu Król. Warsz. Towarzystwa Przyjaciół nauk podniósł tę myśl mocy i na upoważnienia Rady Administracyjnej Królestwa w r. 1829 wydanego rozpoczął czynne kroki w celu założenia przytułku wychowawczego, tak dla przestępców nieletnich, jak i w zaniedbaniu będących dzieci. W skutek jego odezwy wydanej do przyjaciół ludzkości, wiele osób zgłosiło się z ofiarami lecz projekt niezupełnie dojrzał i Towarzystwo nie mogło się należycie rozwinąć, widać nie wybiła jeszcze godzina zupełnego wprowadzenia w czyn tej szlachetnej myśli. W r. 1849 ksiądz Dyjonizy Lebiedziński były przeor klasztoru Augustyjanów w Wieluniu, powziął i wykonał podobną myśl. Urządził z pomocą okolicznych obywateli w zabudowaniach klasztornych przy obszernych ogrodach stosowny zakład, w którym pomieścił opuszczonych i sądownie karanych chłopców, ucząc ich czytania, pisania, zasad religii o moralności, rachunków, muzyki, śpiewu, ogrodnictwa i rzemiosł. Zakład ten jednak po kilku latach dobroczynnego istnienia ustał; zapewne mało był wspieranym dobrą wolą ogółu.

Przytoczymy jeszcze jeden fakt pracy u nas na tej drodze podjętej w latach poprzednich. Pan Maternicki zarządzający więzieniem Kieleckiem w r. 1850, chroniąc od zepsucia znajdujących się tam około 20 chłopców od 11 do 14 lat, odłączył ich od więźniów starszych, umieścił w osobnej części gmachu i przeznaczył za zatrudnienie samę tylko naukę. Ta szlachetna inicyjatywa pana Maternickiego znalazła naśladownictwo przy wszystkich niemal więzieniach.

Przystąpmy teraz do projektu podjętego przez Komitet Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w roku zeszłym zatwierdzonego w kraju naszym.

Według § 1 ustawy zadaneim Towarzystwa jest:

„Pracować nad moralną poprawą dzieci płci obojéj, które za występek przez sądy na karę skazane zostały, tudzież nad polepszeniem losu nieletnich żebraków i włóczęgów”.

Pan Mianowski prezes Towarzystwa w odezwie komitetu powiada, iż Towarzystwo ma wskazane dwa środki działania:

1. „Zakładania osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, w których nieletni czyli to znajdujący się już u podwoi więzień, czyli też w skutek próżniaczego życia, będący nad przepaścią występku, lub nędzy, mają być na drogę cnotliwego prowadzenia się i uczciwego zarobkowania skierowani. (§ § 2, 3 i 4.)

2. Wyszukiwania odpowiedniego pomieszczenia dla wychowańców wychodzących z osad Towarzystwa i udzielania im w przyszłym zawodzie pomocy i opieki”.

Z tych dwu punktów widzimy iż zasadniczy cel Towarzystwa pięknie i wyczerpująco został wytkniętym. Dzieci nad przepaścią upadku stojące mają dwa ważne peryjody, gdzie najpilniejszej uwagi filantropów wymagają. Raz gdy wchodzą w progi więzienne, drugi raz gdy je opuszczają. I w pierwszym i w drugim razie pomoc jest konieczną, choć różnej powinna być natury.

Obcowanie nieletnich z innemi dorosłemi przestępcami kieruje, jak wiadomo, pierwszych na skończonych zbrodniarzów. Następnie i samo więzienie nawet i bez tych wpływów szkodliwie oddziaływa na moralną stronę małych przestępców, nakoniec, nadwątla ich siły fizyczne, marnuje czas i skazuje na pastwę próżniactwa i nieumiejętności zapracowania w pożyteczny sposób na kawałek chleba.

Usunięcie tych szkodliwych przyczyn widzimy w punkcie pierwszym powyższej odezwy.

Dziecię przestępne po odsiedzeniu w więzieniu naznaczonej kary nie znajdzie ani rodziny, ani przyjaciół, ani znajomych; nikt mu nietylko ręki nie poda, nie ofiaruje swej pomocy, ale jeszcze odtrąci z pogardą. Moralność powszechna nie doszła jeszcze do tego stopnia sprawiedliwego sądzenia czynów i ludzi, by odrzuciwszy na bok zapleśniałe przesądy i fałszywe pojęcia, chciała widzieć w każdym bliźnim, nawet poprawionym już, wyleczonym moralnie przestępcy, brata.

Zanim więc ogół dojdzie do tej bezstronnej moralności, konieczną jest opieka czyli podanie pomocy wyleczonym wychowańcom, po wyjściu ich z zakładu przytułku.

Drugi punkt wzmiankowanej odezwy odpowiada szlachetnem uwzględnieniem tej nieodzownej pomocy.

Dalej odezwa pisze: Towarzystwo składa się z członków założycieli i członków honorowych.

Pierwszych liczba na teraz ustawą ograniczona do 20-tu, jest już uzupełnioną; ilość zaś członków honorowych, wnoszących rocznej składki stałej rubli sześć, jest nieograniczoną.

Do chwili obecnej liczba zapisanych dochodzi zaledwie pięciuset co zaiste stosunkowo do liczby zamożniejszych w Królestwie mieszkańców obojej płci wszech wyznań, różnych położeń i zatrudnień jest cyfrą zbyt małoznaczącą, która pomyślnego i skutecznego rozwoju działaniem Towarzystwa dotąd jeszcze nie zapewnia.

„Zamierzone urządzenie pierwszej wzorowej osady dla nieletnich przestępców, wymaga różnych jednorazowych ofiar, o które nie waha się komitet odwołać do dobroczynnych serc publiczności naszej.

Potrzeby te rozpadają się na dwie główne kategoryje, a mianowicie:

1. Nieodzowną jest dla Towarzystwa pewna przestrzeń gruntów, o ile by można około morgów 300 wynosząca, a w blizkości Warszawy, koło jednej z dróg żelaznych położona; która to przestrzeń odstąpioną by być mogła na dogodnych warunkach, czy to na własność Towarzystwa, czyli też tytułem wieczystej dzierżawy.

2. Potrzeba jest Towarzystwu jednorazowych pieniężnych ofiar na odpowiednie tej osady urządzenie, które według przygotowanych obliczeń wymagać będzie znakomitych funduszów, o wiele przechodzących dotychczasowe Towarzystwa zasoby; roczne bowiem składki od członków honorowych należne i opłaty przez Rzząd uiszczać się mające za utrzymywanie nieletnich przestępców, przeważnie obracane być muszą w przyszłości na zaspokojenie bieżących wydatków Towarzystwa, osadami jego spowodowanych.

Pragnący przyjętym być na członka, raczy zawiadomić o tem Komitet Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych listownie, którego biuro mieści się w domu N. 1066 lit. O w Warszawie przy ulicy Królewskiej. Osoby skłonne do udzielania gruntu na osadę lub pragnące zasilić Towarzystwo jakową ofiarą pieniężną, raczą piśmiennie o tem powiadomić Komitet pod adresem powyżej wskazanym.”

Z wiadomości dotyczących projektowanego zakładu dowiadujemy się, iż Komitet Towarzystwa wyznaczył dwie delegacyje.

Jedna z nich wygotować miała projekt urządzenia osad, który już jest sporządzony; druga prawna ma za zadanie wypracować wnioski mające na celu urządzenie stosunków Towarzystwa z prawem karnem obowiązującem, oraz zaprojektować pewne zmiany z harmonizować mające prawo karne z zasadami, na jakich opieka nad nieletniemi przestępcami opierać się musi.

Rys projektu wypracowanego przez delegacyję pierwszą jest następujący: Osad ma być około dziesięciu, osobno dla nieletnich przestępców kryminalnie pociąganych, a oddzielnie dla nieletnich włóczęgów i żebraków; jak również starozakonni osobno umieszczeni w oddzielnej osadzie będą, przy dodaniu im ojca rodziny także starozakonnego. Każda osada składać się będzie z ojca rodziny i z liczby 15 do 20 chłopców. Ojcowie rodzin mają być wybierani z uczciwych nauczycieli elementarnych, lub rzemieślników.

Wśrodku osady zbudowanym będzie dom Główny dla Dyrektora kolonii, gospodarzem zwanego, tamże będzie szkoła i jadalnia, a w Niedzielę i święta urządzonym być ma Ołtarz do nabożeństwa; obok mają być sale na warsztaty rzemieślnicze przeznaczone.

Przy głównym domie urządzone będą zabudowania gospodarskie, stanowiące centrum całego folwarku, mającego być obrabianym przez wychowańców, przy pomocy służby folwarcznej i potrzebnego inwentarza. Nadzór nad dziewczynami będzie miała żona dyrektora.

Tyle co do wiadomości o mającem powstać dobroczynnym zakładzie, którego całkowicie i szczegółowo wypracowany projekt zdaje się podanym być w krótce powinien do wiadomości publicznéj.

Pokładamy całą ufność w racyjonalne obrobienie projektu, ponieważ na czele Komitetu stoją ludzie światli, z zagranicznemi tego rodzaju instytucyjami obznajmieni i pojmujący dobro społeczne. Spodziewać się należy, iż w wewnętrznem urządzeniu zakładu przebijać będzie myśl przygotowania dla społeczeństwa pożytecznych członków; system zatem prowadzenia wychowańców zaszczepiać będzie w nich zasady moralności, pojęcia o obowiązkach i wdrażać do pracy, a wykształcenie elementarne i usposobienie do praktycznego zawodu przygotuje z nich pracowników mogących na każdem miejscu znaleść bardzo łatwo zatrudnienie i kawałek chleba.

Grunt pod osadę najwłaściwszym byłby nieurodzajny jeszcze, któryby pracą dopiero podnieść trzeba było. Niech się młodzi uczą, że pracą tylko mozolną a uczciwą zdobywać trzeba lepsze położenie. Następnie, ponieważ Instytucyja ta ufundowaną będzie na dobroczynności publicznej, stosownem byłoby wybranie kawałów ziemi nierodzajnej, na której użyźnienie trudno jest znaleść prywatnego przedsiębiorcę, a która kosztem zakładu i rękoma wychowańców za jedne pieniądze użyźnioną i doprowadzoną do pomyślnego stanu być może. Grunta mogłyby być piaszczyste, w bliskości miasta i kolei żelaznej położone, którychby za mniejszą cenę większą ilość kupić można, albowiem pamiętać należy, iż liczba nieletnich przestępców jest niemała, jak tego dowodzi następująca tablica ułożona podług wykazów sporządzonych przez Komissyją Sprawiedliwości za lat 6:

w 1865 r. było przestępców nieletnich do 14 lat; 87, od 14 do 21—861;
w 1866 do lat 14—80—od 14 do 21 lat 533;
w 1867 do 14 lat 46, od 14 do 21 lat 620;
w 1868 do 14 lat 47, od 14 do 21 lat 895;
w 1869 do 14 lat 86, od 14 do 21 lat 963;
w 1870 do 14 lat 89, od 14 do 41 lat 966.

Cyfry te dość wymownie świadczą, iż liczba nieletnich przestępców, nie licząc włóczęgów i żebraków jest potężna i co rok się zwiększa; nie można się więc bawić w lekki rodzaj gospodarowania na użyźnionej i w kulturze będącej roli, raz że takowa jest bardzo drogą, powtóre, że do cięższej i wytrwałej pracy nie tak zaprawi wychowańców, jak rola nieurodzajna, wymagająca mozołów i trudów, a której za tańsze pieniądze większe obszary nabyć można, obszary mogące wystarczyć na pomieszczenie właściwej liczby przestępców i włóczęgów przy bardzo szczupłych funduszach Towarzystwa.

Ponieważ instytucyja w mowie będąca obchodzić powinna wszystkich obywateli miast i wsi, tak więcej, jak i mniej zamożnych, bez względu na różnicę wyznań, sądzimy, że wspomożenie przez wspieranie pieniężnemi datkami, jak również przystępowanie do Towarzystwa w charakterze członków honorowych nie będzie obcem dla ogółu czytelników naszych. Myśl piękna, powracająca społeczeństwu wielu członków uczciwych i prawych, a przysparzająca rolnikom wielu pracowników, z pożytkiem dla gospodarstwa krajowego użyć się mogących. Potrzeba tylko poparcia ogółu w tej szlachetnej myśli, w tej dźwigni cząstek społecznych; tego poparcia spedziewamy się, domagamy się nawet, wołamy o nie! Spieszenie z pomocą w każdym szlachetnym i zacnym projekcie, czy to w imię dobra ogólnego, czy też pewnych warstw społecznych, czy nakoniec niektórych indywiduów, jako bliźnich naszych, jest nietylko czynem szlachetnym, ale i *obowiązkiem* każdego prawego i dobrze myślącego człowieka!

Nakoniec zwracamy uwagę czytelników naszych, pragnących bliżej poznajomić się z powyżej dotkniętym przez nas przedmiotem, na pracowicie skreśloną broszurę pana Gembarzewskiego traktującą *„O uwzględnieniu małoletności w prawie karnem”*, której część drugą poświęcił rozbiorowi opieki nad przestępnemi dziećmi; oraz polecić możemy światłą pracę pana Moldenhawera *„O zakładach karnych dla nieletnich przestępców”* traktującą w mowie będący przedmiot z gruntowną znajomością rzeczy.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Hieronim Savonarola przez *Klemensa Kanteckiego. Poznań i Lwów.*

Ciekawy to epizod z dziejów XV wieku, w którym występują nader wybitne postacie, przeor Dominikanów z Florencyi ów Hijeronim Savonarola, umysłu niepospolitego nieskażonej czystości obyczajów, surowego ży-

cia, porywającej wymowy a naprzeciw niego zbrodniarz z tyjarą na głowie Papież Aleksander VI i cała zgraja kupców, lichwiarzy florenckich. Rolę komparsów odgrywa tłum wszędzie i po wszystkie wieki jednakowy, dający się najprzód wodzić na pasku Savonaroli, olśniony blaskiem jego godności moralnej, wzdychający do ulepszeń ku którym on dążył, nazywający go błogosławionym, świętym, czemu nawet z początku kościół się nie sprzeciwiał; lecz gdy konserwatyści zadrżeli o swój spokój i lękając się jakich niedogodnych dla siebie wywrotów skupili się koło Aleksandra VI a ten zawołał w uniesieniu gniewu: „Savonarola musi zginąć chociażby był Janem Chrzcicielem!" wydano na naśmierć zakonnika a ludek patrzał na to jako na ciekawe widowisko prawie radośnie, bo mu powiedziano, że głód powstał z jego przyczyny, że fabryki przez niego ustały.

Pan Kantecki traktuje ten przedmiot wcale wymownie i budzi piękne nadzieje tą piękną pracą chociażby to nawet była w części kompilacyja. Zrobićby można jeden tylko zarzut t. j. że pan K. usiłuje koniecznie wszystkie fakta naciągnąć do tej jednej myśli, że Savonarola w niczem przeciwko dogmatom ani praktyce kościoła katolickiego nie wykroczył; myśli, którą podzielić z nim trudno. Autor zasięgał od mieszkającego we Florencyi *Teofila Lenartowicza* wiadomości o zamierzonym posągu dla Savonaroli, któremu Florentczycy, tak jak spiewakowi *Boskiej Komedyi* zamierzyli jeszcze w 1870 r., dać ten dowód uczczenia. Lenartowicz odpisał w styczniu r. bieżącego, że kolosalny posąg Savonaroli już jest na dokończeniu w pracowni rzeźbiarza *Henryka Pazzi* a będzie postawiony w *Campo Santo* na cmentarzyku otoczonym kolumnadą i ozdobionym klombami kwiatów. „Klątwa ludom co swoje mordują proroki!" Słowa te Mickiewicza, pan Kantecki za dewizę swej pracy położył a historyja nas uczy, że prorokòw zawsze los podobny spotyka. 374 lat mija jak Savonarola skonał na krzyżu wśród płomieni stosu, który temu krzyżowi służył za podstawę a jeszcze dziś, to czego on pragnął i do czego dążył utopją, niedosięgnionym ideałem się nazywa. Ugruntowanie Rzeczypospolitej na miłości chrześcijańskiej i zgodzie wzajemnej, to niby obraz fatamorgana, który oddala się od nas i niknie, im bardziej się do niego zbliżyć staramy. Savonarola był do końca życia wiernym idei, której służył; zgon jego był niepokalanym żadnemi ziemskiemi widokami i ta postać pełnego zapału zakonnika co się teraz wzniesie wśród nadobnej Florencyi, będzie jakby posiewem do nowych walk za za prawdę i natchnieniem dla wielu z tych, co jej służyć pójdą z zaparciem się siebie.

S.

Do Redakcyi „Opiekuna Domowego."

W skutek ogłoszenia naszego w Nr. 20 Opiekuna, otrzymaliśmy następne uwagi, przez kobietę pisane, które zgodnie z zamierzonym przez nas celem tu pomieszczamy:

Egoizm w zastosowaniu do wychowania dzieci.

Nieraz zdarza się słyszeć i czytać to zdanie, że dziecię małe największym jest samolubem i że dopiero z postępem lat wychowanie moralne przytłumia w nas egoizm i uczy robić z siebie ofiary dla dobra bliźnich naszych. Rzeczywiście ta jest treść wszystkich morałów, które prawimy dzieciom, ten niby cel każdego wychowania moralnego; nie zdaje mi się jednak, żeby było rzeczą możliwą ten cel osiągnąć. Wychowanie dobre rozwija w nas, to prawda, uczucie sprawiedliwości, którém powodowani, ustępujemy czasem cokolwiek ze swoich przywilejów, aby i bliźni nasi nie byli pokrzywdzeni — człowiek jednak nigdy nie przestaje być egoistą; kocha siebie najlepiéj od kolebki do grobu i dla siebie samego szczęścia szuka. *Wychowanie dobre to tylko sprawia, że wzbudza w nas coraz szlachetniejsze pragnienia, uczy cenić coraz wyższe dobra, a pożądając ich dla siebie, chętnie poświęcać mniéj drogie i cenne.*

Tak Ignaś jak Antoś i Franuś, w drugim roku życia, nie oddadzą jabłnszka trzymanego w ręku, póki im się w zamian nie da innego, ładniejszego i większego. Przypuśćmy, że są to dzieci różnych rodziców i każde inaczéj, choć starannie prowadzone; idźmy za niemi daléj.

Ignasia prowadzą *miłością*, rozwijają w nim *uczucie*. Ignaś już w trzecim roku porzuci czasem najlepszy przysmaczek, kiedy go prosi o to matka, którą kocha, a przy jéj pieszczotach zapomina zupełnie o swojéj stracie. To znaczy, że Ignaś czuje już szczęście być kochanym i przekłada je czasem nad przyjemność jedzenia, właściwą zwierzęcéj naszéj naturze. Parę lat później, gotów odstąpić najmilszéj zabawki, jeśli go za to ojciec pogłaszcze i pochwali; a łza, co mu wtedy w oku zabłyśnie, to nie łza smutku za zabawką, to łza szczęścia, że go pochwalił ten, którego on już przywykł uwielbiać. Ignaś w szkołach zrzecze się nieraz wielkiéj przyjemności i zabawy, zada sobie trud i pracę, gotów wyrzec się nawet nagrody i pochwały zwierzchności, byle pozyskać miłość kolegów. W życiu późniejszém podobnież *poświęca się* dla rodziny i bliźnich; ale to się poświęceniem zwać nie powinno, to tylko dowód, że egoizm jego jest uszlachetniony, mniéj zwierzęcy, że więcéj szczęścia znajduje w miłości współbliźnich niż w korzyściach i dobrach materyjalnych.

Antosia wychowują, używając za środek *pochwał*, zadowolnienia próżności. Jest to bodziec bardzo skuteczny. To też dość pochwały i zachęty obojętnéj nawet osoby, aby skłonić to dziecię do zrzeczenia się zabawki, łakotek, których przed chwilą najgoręcéj pożądał. A kiedy już zacznie trochę rozumieć hijerarchiję społeczeństwa, tém więcéj go cieszą pochwały, im wyżéj stoi osoba, która ich udziela. O pochwały niańki mniéj już dba; nawet pochwały ojca i matki z czasem powszednieją; ale kiedy go pochwali gość rzadki i przez rodziców szanowany, to robi na nim silne wrażenie i pobudza do wielkich stosunkowo ofiar. W szkołach stara się, aby go chwalili koledzy, ale kiedy idzie o pochwały zwierzchności, a szczególniéj publiczne, o koleżeństwie zupełnie zapomina. W dalszém życiu o tyle się udziela, poświęca, o ile spodziewa się stąd rozgłosu. Jeżeli okoliczności wcześnie go postawiły w towarzystwie ludzi moralnych i szlachetnych; jeżeli od pierwszéj młodości starał się o dobrą reputacyję w swojém otoczeniu,—dla utrzymania téj reputacyi może wytrwać w dobrém do końca. To też towarzystwo, otoczenie, jest rzeczą najważniejszą dla ludzi nie mających stałych przekonań, lecz powodujących się próżnością. Egoizm ich skoncentrował się w zadowolnieniu próżności; póki ona jest zaspakajaną, póty na nich liczyć można...

Wychowujący *Franusia* postanowili dać mu za nić przewodnią w drodze życia *interes własny dobrze zrozumiany;* nie tylko ów interes, który nam każe uważać dobra moralne jako nagrodę za ofiarę materyjalnych, ale nawet pokazujący nam w perspektywie i materyjalne dobra większe od tych, których odstępujemy dla bliźnich. Ale do pojęcia tego *dalszego* interesu własnego trzeba rozwiniętego rozumu; i w małém dziecku przypuszcza się już trochę rozwinięcia, kiedy mu wmówić można, żeby nie zrywało niedojrzałéj gruszki, bo za parę dni będzie ją mieć słodką i soczystą. Rozwijając więc powoli rozum Franusia, pozwalano mu tymczasem oddawać się mniéj więcéj popędom naturalnym, tak jednakże kierując rzeczy, aby nadużycie téj wolności z krzywdą innych sprowadzało mu zawsze jakąś nieprzyjemność. Franuś więc prędko to zrozumiał, że krzywdząc innych i sam na tém cierpi i zaczął tego unikać, nim jeszcze mógł przewidywać dalsze następstwa, jakie każdy zły uczynek wiedzie za sobą. Przy starannéj jednak uprawie umysłu i to nastąpiło wkrótce i Franuś wcześnie począł się rządzić rozumem. W szkołach nikt go szczególnie nie kochał, ale każdy musiał oddać sprawiedliwość trafności postępowania, z jaką umiał pogodzić uległość dla wymagań zwierzchności z obowiązkami względem współuczniów. Nie poświęcał się on im wcale: nie dał im ani odrobiny swego czasu, kiedy go potrzebował dla siebie; nie pożyczył pieniędzy najwięcéj potrzebującemu, kiedy sobie ułożył użyć ich dla własnéj przyjemności. Nie jeden z kolegów, ruszając ramionami, szeptał z cicha: „to samolub, serca nie ma." Ale w właściwym czasie, rozbrajał on ich chętną pomocą lub hojnym datkiem i biedacy, nie umiejący jeszcze zdać sobie sprawy ze swoich uczuć, musieli przyznać, że się na nim nie poznali, że on tylko porządniejszy i rozumniejszy od od nich wszystkich. Instynktem jednak czuli dla niego oziębłość, bo tylko wylewy serca sercem się płacą. W dalszém życiu toż samo, — bo szkoła jest już próbką życia;—potrafił zdobyć materyjalne dobra i szacunek ludzki; o miłość ludzką nie dbał; nie czując jéj sam dla nikogo, nie pożądał też dla siebie. Szczęście takiego człowieka, nawet przy obszerném rozwinięciu rozumu, musi głównie polegać na dobrach materyjalnych, być mniéj więcéj do zwierzęcego zbliżone. Nawet zamiłowanie nauki nie może mu dać tyle szczęścia ile innemu; bo w nauce widzi on tylko środek, ceni tylko jéj praktyczne zastosowanie — jéj poetyczna strona całkiem przed nim zakryta.

Takim jest właściwie człowiek, do którego zastosowują zwykle miano *egoisty;* — mylnie jednak—bo i tamci dwaj kochają siebie również, tylko kochają inaczéj, mniéj po zwierzęcemu.

Nie wspominam tu jeszcze o wychowaniu religijném — nie wszyscy używają uczucia religijnego jako środka do wychowania dzieci, albo też nie wszyscy w jednakowy sposób; lecz nad tym ważnym przedmiotem warto osobno się zastanowić. Dziś chciałam tylko dowieść jak zwykle używane sposoby prowadzenia dzieci nie niszczą w nich egoizmu, uszlachetnić go tylko mogą.

F. K.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. **Redaktor**, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.